

Zatańcz, a zrozumiesz

„Dawniej na wsi nie było telewizora, nie było radia, ale wesoło było, dużo weselej niż teraz”. To jedno z takich zdań, które w rozmowach ze starszymi mieszkańcami wsi słyszę nadzwyczaj często. Niewątpliwie wynika to z bliskich relacji, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu spajały małe wiejskie społeczności. Życie w wielopokoleniowych rodzinach, mieszkanie w ciasnych izbach, wspólny kościół, wspólna praca i wspólna rozrywka, której wcale tak wiele w życiu nie było... Wiejska zabawa taneczna stawiała się jedną z niewielu okazji do wypełnienia godzin wolnych od pracy. Taniec był jednak nie tylko sposobem na przyjemne spędzenie czasu, ale miał wymiar o wiele bardziej symboliczny, a nawet magiczny. Nie każdy taniec był przeznaczony dla każdego, co więcej – nie każdy czas był na wsi odpowiedni do tańca. Tańce sobótkowe wokół ognisk świętojańskich miały na celu ochronę przed złem i zapewnienie sobie dobrobytu czy płodności. Tańce oczepinowe przeznaczone były wyłącznie dla wybranych, w przeciwieństwie do innych tańców weselnych – łączących wszystkich biesiadników, nawet tych, którzy zjawili się nieproszeni. Taniec na konopie wykonywany był przez starsze, zamężne kobiety, natomiast w tańcu dożynkowym do pierwszej pary stawał dziedzic z przodownicą, stwarzając jedną z niewielu okazji do tak bliskiego spotkania przedstawicieli dwóch odrębnych stanów. Polacy kroki poloneza mają we krwi. Większość z nas spotkała się z kujawiakiem i krakowiakiem. Podobnie rzecz ma się z oberkiem czy polką. Nieliczni jednak wiedzą, że na Warmii tańczy się żabkę, szewca czy kowala, na Mazurach zaś biwat, stryjenkę i kozioła. Na Lubelszczyźnie gra się powiśloki, w Wielkopolsce walczerki. Na Podhalu popularny jest zbójnicki, a na Kaszubach dżek. Co kraj, to obyczaj, podobnie więc – co wieś, to inne taneczne kroki, inne muzyczne warianty.

Z upływem czasu także muzyka tradycyjna zmienia swoje oblicze. Przez lata panowało przeświadczenie o wyższości społeczności miejskiej, jakoby żyjącej w dobrobycie. Kiedy w końcu nadarzyła się okazja, by uciec w kierunku marzeń o lepszym życiu, wieś zaczęła się wstydzić wsi, a jej wartość doceniło... miasto.

Trans obrotów

Rozpoczął się proces dokumentacji, nagrywania i spisywania. Dopiero po czasie muzyka wyszła z archiwów, a młodzi wykształceni instrumentalści z miasta zaczęli się uczyć od wiejskich mistrzów, przejmując ich maniery i charakterystyczny styl wykonawczy. Nastąpiła wspólna celebracja tego, czego udało się nauczyć. Należało zobaczyć, jak zanikające formy sprawdzą się w nowej sytuacji. Stąd spotkania w większym gronie, odtwarzanie przyswojonej muzyki na własnych instrumentach, pierwsze stawiane w jej rytm kroki tańca. Tańca, który sięga do źródeł, który jest czymś pierwotnym, naturalnym i szczerym. Bez słów wyraża strach, frustrację i radość. Rozładowuje napięcie. Pozwala poczuć. Wirując, wpaść w trans. Trans obrotów. Trans jednego ducha. Trans wspólnoty emocji. Odrealnienia.

Wiele jest nurtów nawiązujących do muzyki tradycyjnej, wiele wydarzeń zahaczających o tę tematykę. Niemal zawsze kończą się potańcówką wspólną dla wszystkich uczestników. Zmienił się tu oczywiście kontekst i zniknął obrzędowy wymiar tańca. Podczas gdy dawniej tańczono i bawiono się dopiero po zakończeniu ciężkich prac zniwnych, dziś na okres wakacji przypada najwięcej wiejsko-miejskich pagrajek i festiwali. Kiedyś na początku zabawy miejscem kobiety była ławka pod ścianą. Dziewczyna szła w tany, dopiero gdy do tańca poprosił ją jeden z obecnych na sali kawalerów. Dziś taniec w kółku, taniec z koleżanką czy taniec samodzielny nie stanowi żadnego problemu. Muzyka tradycyjna zatacza coraz szersze kręgi, stała się fenomenem, którego nie da się zrozumieć, samemu nie próbując.

Środowisko miejskie skupione wokół polskiej muzyki tradycyjnej coraz częściej określa się jako „neoplemię” czy nawet „subkulturę”. Społeczność tę tworzą ludzie zainteresowani muzyką ludową, uczestniczący w różnych wydarzeniach z nią związanych – w festiwalach muzycznych (np. Wszystkie Mazurki Świata), taborach Domów Tańca, warsztatach i potańcówkach organizowanych m.in. przez Ambasadę Muzyki Tradycyjnej w Warszawie. Szczególnie Ambasada jest w tym kontekście miejscem wyjątkowym. To właśnie tu ludzie często po raz pierwszy dotykają tej muzyki żywej. Wchodzą w to – wciąż kameralne – środowisko, uczą się stawiać kroki swoich pierwszych oberów. Tu wszyscy znają się z widzenia. W czasie potańcówek wyraźnie widać nowe osoby – nie znają jeszcze kroków i niepisanych zasad, nie wiedzą, co znaczy „taniec po kole” czy „łokcie przy sobie”. Czynnikiem, który wzmacnia przynależność do tego środowiska, jest więc umiejętność tańca. Do szybszej nauki motywują ciepłe słowa i otwartość stałych członków społeczności. Na co dzień większość tych osób funkcjonuje w realiach zupełnie odmiennych – związanych z życiem zawodowym i prywatnym. Przychodzą na tańce, a potem wracają do swojego „normalnego” życia. Niektórych taniec pochłania coraz bardziej. Z czasem zaczynają ubierać się inaczej, zmieniają uczesanie. Ostatecznie wyprowadzają się z miasta. Poszukują „czegoś więcej”, chcą być bliżej swoich mistrzów, nie tracą jednak łączności z dużym miastem, które... pozostaje tętniącym sercem tej muzyki i kultury.

Poszukiwanie prawdy

W całym tym współczesnym zapatrzeniu w muzykę i kulturę ludową jest coś z XIX-wiecznej chłopomanii. Przyciąga jednak nie tyle sielskość i mityczna idylla, a poszukiwanie czegoś, co jest z całą pewnością prawdziwe. Przecież wśród dzisiejszych mieszkańców miast tylko nieliczni mają pochodzenie mieszczańskie lub szlacheckie. Przodkowie pozostałej części przywędrowali do miasta ze wsi, dlatego skłaniają się ku jej autentycznej kulturze. W świecie, w którym wszystko stało się pozorne, tradycja pielęgnowana przez środowiska wiejskie daje nam poczucie bezpieczeństwa. Za każdym razem, kiedy w Ambasadzie Muzyki Tradycyjnej w Warszawie widzisz tych ludzi – i słyszysz tę muzykę – wiesz, że to jest serio.

O niezwyklej potrzebie bycia blisko muzyki i tańca ludowego świadczy wielość nurtów zeń czerpiących. I widać to już nie tylko na przykładzie sal koncertowych wypełnionych widzami z zachłannością podziwiającymi występy „Mazowsza”. To nie tylko działające przy większości uniwersytetów w Polsce zespoły pieśni i tańca. Nie mówimy tu też wyłącznie o kameralnym środowisku młodych pasjonatów muzyki in crudo (muzycznych rekonstruktorów). Po zapomniane instrumenty i kroki oberków sięgają już nawet sami mieszkańcy wsi, zachęceni szerokim odbiorem, coraz liczniejszymi przeglądami, dotacjami i wreszcie tym, że to po prostu może się znowu podobać. W całej Polsce w miastach odbywają się regularne warsztaty muzyki i tańca tradycyjnego. Jest w tym gronie Łódź. Dzięki zaangażowaniu Fundacji Po Staremu w domu kultury przy ulicy Niciarnianej co tydzień odbywają się warsztaty śpiewacze, warsztaty gry na skrzypcach, bębenu i harmonii trzyczęściowej, a także oczywiście – warsztaty taneczne. I choć lekcji udziela już przede wszystkim pokolenie uczniów dawnych mistrzów, czuć w tej nauce ducha prawdy i naturalności.

Razem na taborze

Ci, których ta autentyczność pociąga, nierzadko szukają źródeł na własną rękę. Cotygodniowe lekcje w centrach miast przestają im wystarczać. Podejmują próby odkrywania wciąż żyjących dawnych mistrzów, których jest już coraz mniej. Mniej jest więc szans uchwycenia bezpośredniego przekazu. Sama etnomuzykologia staje się dziedziną, której grunt usuwa się spod nóg. Dziedziną stojącą na granicy. Po jednej jej stronie jest żywy materiał znikający na naszych oczach. Po drugiej ten sam materiał, który zapaleńcy, chcąc zachować jego żywotność, próbują do świata dopasować.

Zafascynowani muzyką wiejską „ludzie z miasta”, gdy przychodzi lato, wyjeżdżają na tabory lub

letnie szkoły. Jadą na wieś, by sprawdzić, jak muzyka i taniec, których uczyli się przez ostatnie miesiące, zabrzmi w swoim naturalnym środowisku. W ostatnie wakacje swoich taborów doczekały się nie tylko regiony duże (jak np. Wielkopolska), ale także regiony mniejsze (Sieradzkie) czy nawet mikroregiony (Sanniki). W samym województwie łódzkim w tym roku odbyły się aż trzy tabory, pozwalające na bliższe spotkania z folklorem łowickim, sieradzkim i łęczyckim w ramach organizowanego przez Łódzki Dom Kultury Festiwalu „Po rzece”. Założeniem taborów, wzorowanych na legendarnych taborach węgierskich domów tańca, jest czynny udział wszystkich uczestników w tańcu, nauce śpiewu i gry na instrumentach – bez podziału na artystów i publiczność. Szczególnie ważna jest tu obecność najstarszych muzykantów. Zwykle prowadzą oni warsztaty, grają wieczorami do tańca lub przyjeżdżają po prostu popatrzeć, zawsze są jednak traktowani jak goście honorowi. Gdy rozpoczyna się tabor, wieczorem do remizy przychodzą obserwatorzy – z czystej ciekawości przyglądają się wirującym wielkomiejskim parom. Ludzie starsi zajmują ławy pod ścianami, niepewni, czy to pełna nostalgii podróż do przeszłości, czy jednak udawane przedstawienie. Pokolenie średnie zasiada na ławach, patrząc z podziwem na lekkość tańczących. Choćby chcieli, nie wstaną i nie zatańczą – ci z miasta robią to lepiej i „profesjonalniej”. Młodzież do remizy nawet nie wchodzi. Niedbale przygląda się tej „grotesce” przez okna budynku, bo i co ciekawszego można wieczorem robić? Po tygodniu jednak sytuacja się zmienia. Oba środowiska przyzwyczajają się do siebie, w ciągu dnia spotykają się w sklepie, wieczorami widują na zabawie te same, coraz bardziej znajome twarze. Postępuje proces przyzwyczajania nie tylko do ludzi, ale i do muzyki, która jest jednak „tutejsza”, taka trochę „nasza”. I w dodatku taka, że można być z niej nawet dumnym.

Kiedy w październiku przyglądałam się organizowanemu także przez Łódzki Dom Kultury Konkursowi Muzyki i Tańca Tradycyjnego im. Jacka Lewandowskiego „5 minut dla oberka”, po raz kolejny nie mogłam wyjść z podziwu. Nie chodzi tu tylko o rekordową frekwencję biorących udział w konkursie par i przybyłych z nimi osób towarzyszących. Tych par nie sposób było zmęczyć. Proponowana przez organizatorów forma oceny samych kapel, prezentujących się przed jury w przerwach między występami tancerzy, zamieniła się w naturalną sytuację, zbiorowy szal wirowego tańca, który trwał bez przerwy przez niemal osiem godzin. Do tego nowe twarze – chyba największa radość. Ci bardzo młodzi – ramię w ramię z najbardziej doświadczonymi. Pasjonaci spędzający godziny na potańcówkach tuż obok członków zespołów pieśni i tańca, dopiero rozpoczynających odkrywanie tańca tradycyjnego w jego naturalnym kontekście. Po obu stronach energia i zapal, których nie sposób zahamować. Ta sama energia sprawiła, że pod koniec maja w Złakowie Kościelnym już po raz czwarty odbędzie się Złakowskie Boże Ciało. „Próbna potańcówka” przemieniona w sukces stała się dorocznym zjazdem wielu kapel z województwa łódzkiego, chcących grać muzykę żywą, taką do wspólnej zabawy, łączącą pokolenia i środowiska. Ta muzyka wyciąga ręce do każdego. Pełna paradoksów i niedopowiedzeń, przyciąga i zachęca, by ją poznać. Jest trudna, lecz intrygująca. Zaprasza do podejścia bliżej w powtarzalnych motywach jak w słowach: zatańcz, a zrozumiesz.

Aleksandra Faryńska

Fot. Archiwum ŁDK

Artykuł pochodzi ze styczniowego numeru „Kalejdoskopu” 1/2024.